NUMER 41. DNIA 21. PAŹDZIERNIKA 1906 ROKU. ROK XIV.

TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

U stóp szubienicy.

Dzień 27. stycznia 1885 roku pozostanie na zawsze pamiętnym dla wszystkich, skazanych w sprawie pierwszej polskiej partji socjalistycznej „Proletarjat“.

Minęło już 41 dni od chwili ogłoszenia wyroku. Najoczywiściej usiłowania prokuratury wojennej i sądu nie wydawały rezultatu. Petersburg nie uznał rozumowania: polska partja socjalistyczna „Proletarjat“ zawarła sojusz z rosyjską „Narodną wolą“ — „Narodna wola“ wykonała straszny zamach 1. marca 1881 r. — a więc wszyscy uczestnicy partji „Proletarjat“ powinni ponieść śmierć na szubienicy.

Sąd, który otrzymywał dyrektywę wprost od Hurki, musiał uznać takie motywy za wystarczające, ale powiesić wówczas w Warszawie 29 ludzi było niepodobieństwem... Sąd wojenny musiał więc oddzielić kozłów od jagniąt, dla tych ostatnich wynaleść „okoliczności łagodzące“ — w wielu razach bezsensowne, do śmieszności: starcom łagodzono karę z powodu „młodego wieku“ (tak było z Blochem, Degurskim, Formińskim i innymi), natchnionym organizatorom, wieloletnim bojownikom z powodu „lekkomyślności“ i t. d. W rezultacie ogłoszono 6 wyroków śmierci. Wybór skazańców uczyniono z widocznym celem — steroryzowania wszystkich warstw społecznych. Żeby zastraszyć młodzież uniwersytecką, wybrano studenta politechniki Stanisława Kunickiego; wyrok śmierci na rosyjskiego sędziego koronnego, Piotra Bardowskiego, miał podziałać na urzędników; wyrok na wojskowego inżyniera, kapitana Mikołaja Lurie, na sfery wojskowe. Wreszcie dla zastraszenia robotników wybrano ofiary w osobach: Jana Pietrusińskiego, tkacza ze Zgierza, Michała Ossowskiego, robotnika z Warszawy i Józefa Szmausa, robotnika z Łodzi. W tych trzech miastach ruch robotniczy był najsilniejszym.

Nie będę opisywał, jakie wrażenie wywarły te wyroki na nas pozostałych, których ten los ominął. Obawialiśmy się przedewszystkiem o Kunickiego. Kunicki przyjmował gorący udział w „Narodnej woli“, w swoim czasie wywiózł z Petersburga poszukiwanego przez żandarmów Degajewa, na którego głowę była już nałożona cena; był jednym z głównych twórców i członków „Proletarjatu“ — wreszcie odegrał wybitną rolę przy połączeniu „Proletarjatu“ i „Narodnej woli“. Na nim musiała się skupić złość żandarmów.

Ale pozostali? Bardowski, typowy konstytucjonalista, który w chwili głębokiego oburzenia na rozstrzeliwanie bezbronnych robotników w Żyrardowie, napisał odezwę do wojska, znalezioną u niego w rękopisie, lecz nigdzie nie drukowaną! Człowiek, który nigdy nie należał do partji, o czem doskonale wiedzieli żandarmi i sędziowie. Co było niebezpiecznego w tym sędzi, od rana do nocy zatrudnionym pracą zawodową? Czem zasłużył na karę śmierci?

Czem zasłużył M. Lurie, przeciw któremu nawet sąd wojenny nie znalazł innych oskarżeń, prócz tego, że dostarczał środków na udzielanie pomocy rodzinom aresztowanych robotników?

Czy można było przypuścić wypełnienie wyroku na obarczonym rodziną robotniku Szmausie, oskarżonym o chybiony zamach na szpiega? Albo na niepełnoletnim Ossowskim, który zabił prowokatora? Albo na młodziutkim Pietrusińskim, oskarżonym o zabicie prowokatora, pomimo, że na sądzie towarzysz Popławski wprost powiedział: „Pietrusiński nie winien! To ja zabiłem Helszera...“?

Nie! Nawet teraz, po upływie lat 20, po tem, jak przed mojemi oczyma rozgrywały się sceny tak zwierzęce, że na ich wspomnienie włosy na głowie powstają, nawet teraz widzę, że mieliśmy dane niepokoić się wyłącznie o los Kunickiego.

Pierwsze dni były ciężkie, ledwie do znie-

sienia... Skazanych na śmierć nie można było zostawić w samotności i rozmieściliśmy się w celach w taki sposób, że na jednego skazanego wypadało dwóch nieskazanych. Ze mną i z Adamem Sieroszewskim (stryjecznym bratem Wacława Sieroszewskiego) siedział Pietrusiński. Nigdy w życiu nie zapomnę jednego króciutkiego odezwania się, które mu się wyrwało, nie pamiętam, z jakiego powodu:

— Ach, jakbym pragnął pokochać... Nigdy jeszcze nie kochałem kobiety i nie mogę sobie wyobrazić tego uczucia...

Biedne, umęczone dziecko! Nie było mu danem zakosztować tego uczucia!

Ale chwile smutku i przygnębienia zdarzały się rzadko. Dokładaliśmy wszelkich usiłowań, żeby odsunąć wszystko, coby je mogło wywołać i udawało się to nam świetnie. Urządzaliśmy wykłady dla robotników, wspólne czytania, wywalczyliśmy wspólne przechadzki, organizowaliśmy śpiewy choralne. Wśród zajęć i rozrywek czas ubiegał szybciej. Przytem otuchy dodawało nam poczucie, że działalność nasza nie skończona, że nasze wezwania, wezwania idących na śmierć i na katorgę, nie przebrzmią bez znaczenia dla sprawy robotniczej, że musimy się odezwać... I oto ułożyliśmy list — testament do towarzyszy. Wydrukowano go w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy. Politycznie umarli — wzywali na walkę żywych i słowa ich w lot chwytano. Byliśmy jeszcze w X. pawilonie cytadeli warszawskiej, nasi towarzysze, skazani na śmierć, nie zostali jeszcze wyrwani z pośród nas, a wiadomość, jaki wpływ wywierał nasz list, przeniknęła już do nas przez kraty. Ach! jak to ozłociło nasz pobyt w dusznych kazamatach!

Czas mijał. Minął tydzień, drugi. Powoli zaczęliśmy się uspokajać i co do Kunickiego... Przedtem, w pierwszych dniach po wyroku, wytężaliśmy siły, aby umożliwić skazańcom ucieczkę, zdobyliśmy pilniki, nawet rewolwer. Cudów pomysłowości dokonywał przy tem Mieczysław Mańkowski... Wypiłował w dachu celi otwór, którym można było wydostać się na strych, a stamtąd na dach, sam wylazł tamtędy i przekonawszy się, że ta droga, ze względu na rozstawione czaty, była zbyt ryzykowną, miał zamiar przerąbać ze strychu wyjście na schody frontowe, prowadzące do mieszkania zarządzającego... Ale i ta droga była bardzo ryzykowną, zresztą, jak wyjść z obrębu fortecy w razie, jeśli się nawet uda wydostać z więzienia?

W pierwszych dniach, pod grozą niebezpieczeństwa, robota szła żwawo, lecz w miarę, jak czas mijał spokojnie, wszystkich opanowało przekonanie, że przecież nie będą kazali ludziom czekać na wykonanie wyroku całe tygodnie, przeszło miesiąc i ręce opadały, a ryzykowność ucieczki uwidaczniała się tem jaskrawiej. Dotychczasowy plan zaczynały zastępować nowe, mniej ryzykowne zamiary ucieczki z drogi. Czas mijał. Trzeci, czwarty, piąty tydzień... Szósty dobiegał już końca.

Ciężar spadł nam z serca. Byliśmy weseli, żartowaliśmy, jak żaki.

Taki właśnie nastrój panował w X. pawilonie, 27. stycznia...

Zawołano nas na spacer. Z młodzieńczym humorem, pełni śmiechu i żartów wybiegliśmy na podworzec więzienny.

Dzień był mroźny, jasny, twardy, suchy, śnieg nęcił oczy. Któryś zrobił z niego kulkę i rzucił w towarzysza. Ten pospieszył się odwzajemnić. Przykład podziałał: momentalnie wszyscy skazani na śmierć i katorgę zapomnieli o wszystkiem i jak dzieci, z zapałem oddali się zabawie z śnieżkami. Hałas, wołania, śmiech przywołał do okien towarzyszy, niedawno aresztowanych, oczekujących dopiero wyroku. Posypały się pochwały dla zręcznych, żarty z niezgrabnych. Ponure podwórze więzienne zmieniło się do niepoznania. Nawet poważny Janowicz i względnie niemłody Bardowski dali się porwać ogólnej wesołości i porzucili na chwilę nieustanną dysputę na temat gminy i rozwoju kapitalizmu w Rosji.

Półtorej godziny spaceru przeszło, jak mgnienie oka. Z takim samym hałasem wróciliśmy do więzienia i rozeszliśmy się po celach. Wkrótce w celi Kunickiego zebrało się 10 towarzyszy na wykład o elektryczności.

Krótki dzień zimowy miał się ku końcowi, zaczynało zmierzchać. Kunicki kończył właśnie lekcję, gdy do celi wszedł starszy żandarm i wezwał go do kancelarji.

W wezwaniu tem nie było nic podejrzanego. Wszystkich nas wzywano często dla załatwienia rachunków, przejrzenia książeczek wydatkowych, po listy i t. p.

W dziesięć minut później wezwano Bardowskiego...

Nasrożyliśmy się. Święciło się coś niedobrego. Uporczywie świdrowało w mózgu jedno słowo — Szlisselburg!

Przyszli po Ossowskiego...

To nas splątało, zbiło dotychczasowe przypuszczenia. Do Szlisselburga wyprawiano zazwyczaj ludzi „szczególnie niebezpiecznych“, wpływowych, poważnych. 18-letni Ossowski nie był, nie mógł być takim...

Przyszła kolej i na Pietrusińskiego... Tak samo, jak tamci, wyszedł z żandarmem, nie pożegnawszy się z nami, bez czapki, bez palta...

Gubiliśmy się w domysłach... Ktoś się odezwał, że zapewne oznajmiają o konfirmacji i złagodzeniu wyroków i po to wezwano do kancelarji...

Tak, tak! Naturalnie po to... Przecież nie może być nic innego...

Wszyscy byli wzburzeni, szczególnie zaś Szmaus i Lurie, także na śmierć skazani...

Minuty wydawały się nam godzinami. Nikogo więcej nie wzywano. Stawało się to podejrzanem.

Czas upływał. Uprowadzeni przez żandarmów nie wracali.

Zaczęliśmy bić we drzwi, zapytywaliśmy żandarmów, lecz oprócz przeszywającego duszę: „nie mogę wiedzieć“ — nie zdobyliśmy żadnej odpowiedzi...

Minęło pół godziny... Wieczność cała...

W celach wszystko ucichło, zastygło, zamarło...

W powietrzu zaczęła się unosić śmierć...

Leżeliśmy bez ruchu na łóżkach, obawiając się nawet w myśli robić straszne przypuszczenia. W tem zardzewiały zamek zazgrzytał, zasuwa dźwiękła i do celi wszedł starszy żandarm...

— Gdzie są rzeczy Pietrusińskiego?

Zarzuciliśmy go pytaniami. Nie odpowiadał. Wtedy odmówiliśmy wydania rzeczy w nieobecności Pietrusińskiego.

— Wszystko jedno, Pietrusiński już tu nie przyjdzie.

— Dlaczego?

Znów milczenie.

Ale to oznajmienie uderzyło w nas, jak grom. Nie stawialiśmy oporu. Żandarmi bez przeszkód wynieśli rzeczy...

To samo powtórzyło się w innych celach.

Straszne podejrzenie wkradło się do duszy: Szlisselburg — czy śmierć?

Ach, jak pragnęliśmy, żeby to był tylko Szlisselburg. „Tylko Szlisselburg“. Wiedzieliśmy, czem jest Szlisselburg, mimo to modliliśmy się w duszy, żeby to był „tylko Szlisselburg“.

Lecz nie. Wykradli nam, dosłownie wykradli towarzyszy — na śmierć. Nie pozwolili ich pożegnać...

Żandarmi są przezornymi psychologami. Obawiają się wzburzenia, woleli po złodziejsku uprowadzić ofiary, przeznaczone na zabicie...

O losie towarzyszy zawiadomił nas zarządzający X. pawilonem, porucznik żandarmski, Fursa, który zaledwie w półtorej godziny po tem odważył się zjawić w celach pod osłoną żołnierzy i żandarmów. Ale, pomimo tej ochrony, tchórzył i mimochodem zaznaczył, że w pawilonie podwojono warty na wypadek protestu z naszej strony. Sprawdziliśmy to później. Tak było istotnie. Żandarmi przygotowali nawet powrozy, żeby móc nas powiązać...

Fursa mówił smutnym głosem, jakby współczując ofiarom, udając żal... Ale w słowach jego brzmiał fałsz... Nie mogliśmy z nim mówić.

Zupełnie inne wrażenie wywarł komendant cytadeli, jenerał-lejtnant Mukowski. Ten uczciwy, szlachetny starzec, który nieraz staczał o nas utarczki z żandarmami i po lokajsku mu posłuszną prokuratorją — przyszedł do nas taki smutny, tak przybity, że jego pogląd na popełnioną haniebną zbrodnię nie mógł ulegać wątpliwości. Nie śmiał oczu na nas podnieść, jak gdyby się uważał za uczestnika tej zbrodni... A kiedy w kilkanaście godzin później temu starcowi, przyprószonemu siwizną, kazano być obecnym przy egzekucji — odmówił stanowczo... Powiadano, że nawet podał się do dymisji, lecz podania nie przyjęto...

Wielu żandarmów było także szczerze zmartwionych.

Ale Fursa i „starszy“ żandarm Tomin przejęci byli tylko strachem, zdawali sobie bowiem jasno sprawę z tego, że my nie mamy już nic do stracenia.

Ale nas na razie jakby grom ogłuszył... Nie myśleliśmy o żadnym buncie, proteście, oporze... Nie myśleliśmy o niczem... W głowie zapanowała pustka... Mózg przestał działać...

Tymczasem naszych męczenników uprowadzono na drugi koniec X. pawilonu, posadzono ich do cel osobnych, potem pozwolono być razem.

Czy ta wiadomość jest pewną — nie ręczę. Tak przynajmniej mówili nam żandarmi. Inne wiadomości, przez nich podane, sprawdziły się. Oni także donieśli nam, że Kunicki miał widzenie z rodzicami, Pietrusiński z krewnymi... Kunicki i Bardowski nie przyjęli księdza, Pietrusiński

i Ossowski spędzili z księdzem kilka godzin. Stracono ich o świcie...

Prowadzący śledztwo w naszej sprawie podpułkownik żandarmski Bielanowski nie wytrzymał i zjawił się na egzekucję, napawać się widowiskiem, przez siebie przygotowanem.

Egzekucja odbyła się w sposób barbarzyński, jakby się chciano nasycić mękami skazańców. Najsampierw stracono Kunickiego. Ten rewolucjonista z przekonania, oddany sprawie z zaparciem się zupełnem, niewzruszony i silny — był stracony pierwszy. Po nim powieszono Bardowskiego. A dwom młodzieńcom, dzieciom prawie, kazano patrzeć i czekać...

Ale rachuba zawiodła katów. Nie udało się im wyrwać jęku, ni strachu. Wszyscy czterej bohaterską spotkali śmierć i zanim im zarzucono worki na głowę, wznosili okrzyki na cześć wolności i rewolucji...

Ossowski się oberwał. Obecni przy egzekucji żandarmi, byli pewni — tak nam opowiadali — że to go uratuje... Nie uratowało... Kat powtórnie wziął się do roboty... Po kwadransie lekarz forteczny, asystujący przy egzekucji, skonstatował śmierć wszystkich czterech... Pochowano ich na tem samem miejscu, przy murze fortecznym, o pięćdziesiąt do sześćdziesięciu kroków od wrót cytadeli, na brzegu Wisły...

Była siódma czy kwadrans na ósmą. Któryś z nas, nie pamiętam kto, wdrapał się na okno, chcąc otworzyć lufcik. Siedzieliśmy na drugiem piętrze. Z okna widać było brzeg Wisły.

— Patrzcie, patrzcie! — krzyknął okropnym głosem.

W mgnieniu oka byliśmy przy oknie...

Przy murze fortecznym kręcili się ludzie, zakopywali mogiłę, rozbierali szubienicę...

Żandarmi przygotowali nam straszne widowisko... Męczenników naszych stracono pod oknami cytadeli. Żeśmy nie widzieli egzekucji — niema w tem winy żandarmów. Oni dołożyli ku temu wszelkich usiłowań. Nie wyobrażaliśmy sobie możliwości takiego pastwienia się nad nami i to nas uratowało...

Feliks Cohn.

BRONISŁAW SZWARCE.

PAMIĘTNIKI.

(1834 — 1903).

(Ciąg dalszy).

Owa plaga Francji, suchoty płucne, ma być podług dzisiejszych teoryj wynikiem zarazku, po dzisiejszemu bakteryj, które się dzięki klimatowi, rasie i rozmaitym warunkom rozwijają i przeciw którym wytężają wszystkie siły bakterjologiczne zastępy, dobrze kosztem ludności opłacane. — Śmiem twierdzić i z długiego doświadczenia i jako syn suchotniczych rodziców, że w tym poglądzie niema ani słowa prawdy, chyba się sofista potrafi wykręcić w a r u n k a m i, z góry nieokreślonymi.

Nie widziałem tych warunków, ani tych suchot na wschodzie przy daleko ostrzejszym klimacie i daleko gwałtowniejszych zmianach temperatury; myślę więc, że gdyby zaprowadzono we Francji sybirskie chałupy, piece i słowiański, odpowiedni klimatowi ubiór, gdyby obyczaje młodzieży były trochę mniej — kulturalne, to i bez bakterjologji suchoty by prędko znikły. Prawda, że kto we Francji wytrzyma, może dożyć do późnej starości z powodu ogólnej wstrzemięźliwości narodu; ale trzeba się wychowywać tam, gdzie woda marznie w zimie w pokoju, gdzie spacerujesz sobie w kamaszkach i wiatrem podszytej zarzutce, w błyszczącym cylinderku, a kilkonastostopniowy mróz szczypie, co się nazywa, by ocenić dobrodziejstwa naszych słowiańskich rolniczych obyczajów. Bo u nas chałupy budują się około chlebnego pieca, a we Francji, jak na południu i na wschodzie, piec stoi sobie na podwórzu albo za wsią, a rodzina marznie przy kominku, obyczajem Mongołów i Beduinów. Niech tam sobie działają bakterje, a kiedy nas przenieśli z Francji, mnie i siostrę do Polski i na Sybir, nasze dziedziczne suchoty odrazu w łeb wzięły.

Po śmierci matki mojej ojciec już nie mógł w Dynanie wytrzymać. Zostały się dwie granitowe płyty w cienistym cmentarzyku na zachód od miasta, przypominające, że i tu polskie kości leżą, a żyjący jeszcze, z ciężkim żalem zaczęli się na wschód wybierać.

Sam ojciec chory, znękany, chciał się odświeżyć towarzystwem współwygnańców i podał prośbę o pozwolenie zamieszkania w Paryżu, trzeba bowiem pamiętać, że był zawsze internowany, pod nadzorem francuskiej policji. Świetny

rząd na to nie zezwolił i przeniósł go na drugi koniec Francji, do Kolmaru w Alzacji. Ale trzeba było przez Paryż przejechać i tameśmy się wszyscy udali jesienią tego samego 1844 roku. Pożegnań nie opisuję, bo ich nie pamiętam, ale musiały być serdeczne, sądząc z nieustającej życzliwości, którą mi zawsze okazywano, skorom się później pokazywał nad Ransą — może i dotąd o nas tam nie zapomnieli.

Osobiście pamiętam tylko ową podróż, bo o innych okolicznościach, rozumie się, z dziesięcioletnim chłopakiem nie mówiono. Wsiedliśmy w Saint Malo do dyliżansu — o kolejach dopiero zaczynano mówić, a szanowny minister Tjers ze wszystkich sił im się sprzeciwiał, nie pamiętam już z jakiego powodu.

Sam wyjazd był dostatecznie romantyczny, bo trzeba było przejeżdżać przez wąską groblę *(le Sillon)*, łączącą wysepkę, na której samo miasto jest zbudowane, ze stałym lądem i przedmieściem Saint Servan i fale morskie, pędzone wiatrem, przeskakiwały przez naszą brykę, co zresztą było i dla konduktora, i dla woźnicy, i dla piątki tęgich normandzkich kłusaków rzeczą zupełnie zwyczajną i obojętną. Przyjechaliśmy przez Dol, Avranches, Normandję górną, Vire aż do Louviers nad Sekwaną, nocując parę razy w drodze, tam dopiero zobaczyłem pierwszy raz syczący parochód (wcale niepodobny do dzisiejszych), bo do Louviers tylko dochodziła budująca się kolej z Paryża do Hawru. Wsadzono nasz dyliżans na pomost czyli platformę i tak dojechaliśmy w słotny październikowy dzień do „serca Europy“, do „stolicy cywilizacji“.

III.

Nim przystąpię do opisu mego paryskiego życia, niezbędnym jest dla czytelnika ogólny pogląd na ówczesny stan obyczajów i pojęć w porównaniu z teraźniejszym; dlatego niezbędny, że pomijanie tych szczegółów, uważanych zwykle za drobnostki, jest źródłem mnóstwa fałszywych przekonań. Warto się nad tem zastanowić.

Na przykład piszą teraz w niby naukowych dziełach o wędrówkach jakichciś, zaginionych ras po północnej Europie w czasach przeddziejowych, to jest dawno przed erą chrześcijańską. Ale takie wędrówki były wprost niemożliwe z powodu klimatu przed wynalezieniem sposobu łatwego dobywania ognia — a wiemy z dziejów, że jeszcze kilkaset lat przed Chrystusem w krajach południowej Europy utrzymywano wieczny ogień, nie umiejąc dobywać nowego. Kiedy wynaleziono krzesiwo i tym podobne ogniotwórcze przybory, tego nie wiemy; ale z pewnością daleko później od przypuszczalnej epoki kamiennej; wszelkie więc hypotezy o bardzo wczesnem zaludnieniu północnej Europy są wprost fałszywe, wynalezione zaś głównie zostały dla utworzenia rodowodu, tak zwanego Germańskim ludom.

Świadectwa zaś historyków starożytnych, n. p. Juljusza Cezara, przedstawiają nam Europę północną jako niezamieszkałą dwa tysiące lat temu, tak, jak Stany Zjednoczone nie bardzo dawno, a północna Syberja dotychczas.

Weźmy inny przykład. Najsłynniejszy nasz teraźniejszy powieściopisarz, Sienkiewicz, nakreślił nam walkę społeczeństwa polskiego z niemieckiem pod Grunwaldem, temu 500 lat, a jego typ ówczesnego Niemca jest zupełnie podobny do teraźniejszego Brandeburczyka, *false* Prusaka; ta sama buta, sztywność i zawziętość, to samo wyrachowanie, ten sam brak dobroduszności. Ale wiemy przecie, że Krzyżacy byli najgorliwszymi katolikami, że uważali Polaków jako heretyków, jako wrogów kościoła katolickiego; ów zaś typ brandeburski teraźniejszy wyrobił się jedynie pod wpływem protestantyzmu i dlatego zgadza się zupełnie z typem innych protestanckich narodów, Szwedów, Anglików, szwajcarskich Francuzów, a wcale nie pasuje do katolickich ludów. (C. d. n.).

BOHDAN ŁEPKYJ.

* * *

Rozwiały się marzenia moje złote,
przecudne sny młodzieńcze tak zmarniały,
jak wczesne kwiaty lutym mrozem ścięte.
I już ich nigdy, nigdy nie pozbieram,
nie wrócę życia im, ich krasą ócz mych,
ni serca mego już nie rozweselę
nigdy — przenigdy...

Jedne upadły przechodniom pod stopy,
niespostrzeżone wcale zżółkły, zwiędły,
drugie wichrami losu porwane
upadły na cudze, dzikie, puste pola...
trzecie zleciały na płyty mogilne,
do zimnych płyt całunkiem ust przylgnęły
na wieki wieczne...

Nieliczne... te na listkach białego papieru
znalazły się, jak niezabudki sine,
włożone dobrą, kochającą ręką
do zżółkłej, starej księgi modlitewnej.
I tylko te, jako wspomnienie ciche,
na świecie tym, który porzucę kiedyś,
po mnie zostaną...

może Ty, odbiegłszy w chwilę błogą
od niecnych zmartwień życia codziennego,
otworzysz księgę, — odczytywać poczniesz
te strofy słów, te kwiaty niewiędnące —
i nie spostrzeżesz, kiedy rosą na nie
opadną srebrne i ciepłe łzy twoje
z żalu za szczęściem... *Przeł. O. Ł.*

KOMEDJI ARYSTOFANESA
„PTAKI”
PROLOG

(Dokończenie).

DUDEK

(za sceną)

Chcę wyjść — hola, otworzyć duchem leśne wrota![5])

(wchodzi)

DOBROMYŚL

Na Herakla witezia! a cóż za istota!?
Jaki strój! jak dziwaczną kitę ma na głowie!

DUDEK

Kto mnie tu szuka? kto wy?

DOBROMYŚL

Najwyżsi bogowie
Widać z piór cię oddarli!...

DUDEK

Słyszę w twojej mowie
Drwiny z piór mych, com człekiem był wprzó-[dy... Z mej biedy
Wy nie kpijcie!

DOBROMYŚL

My nie kpim z ciebie!

DUDEK

Z kogóż tedy?

DOBROMYŚL

Jeśli śmiejem się szczerze, twój dziub ci to sprawił.

DUDEK

Tu Sofokles zawinił: on mię tak przedstawił
W swej tragedji, gdzie taka Tereja ozdoba —

DOBROMYŚL

Tyżeś więc Tereus? — Pawiem jesteś, czyli pta-[kiem?[6])

DUDEK

Ptakiem.

DOBROMYŚL

A czemuż twoje pióra grzeszą brakiem?

DUDEK

Toć wylazły.

DOBROMYŚL

Azali winna tu choroba?

DUDEK

To nie! — wszystkim skrzydlatym pierze w czasie [zimy
Leni się, poczem znowu w nowe się stroimy —
Lecz mówcież: kto wy tacy?

DOBROMYŚL

Śmiertelni zbłąkani.

DUDEK

Z grodu?

DOBROMYŚL

Gdzie cudne łodzie bujają w przystani.

DUDEK

Przysięgłymi jesteście?

DOBROMYŚL

Coś wręcz przeciwnego
Przysięgłym![7])

DUDEK

Zali jeszcze z nasienia takiego
Sieją u was?

DOBROMYŚL

Ot, na wsi od czasu do czasu.

DUDEK

Powiedzcież, co was tutaj przygnało do lasu?

DOBROMYŚL

W gości tu przybyliśmy.

DUDEK

Z jakiegoż powodu?

DOBROMYŚL

Gdyż, jak my dwaj, ty wprzódy byłeś człekiem [z rodu,
Gdyż, jak my dwaj, ty długi zaciągałeś skrzętnie,
Gdyż, jak my dwaj, ty wcale nie płaciłeś chętnie!
A gdyś potem latawcem wzleciał przekształcony
I gdyś niebo i ziemię zlatał na wsze strony,
I wiesz wszystko, co ludziom wiadome i ptakom,
Przeto idziem do ciebie druhu z prośbą taką:
Może wskażesz nam drogę do jakiego miasta,
Gdzie się tyje w spokoju i w wełnę porasta!...

DUDEK

Czy miasto ma być większe, niż wasze w tej [chwili?

DOBROMYŚL

Nie, nie większe, lecz żeby my w niem więksi byli!

DUDEK

Arystokrata widzę!

---

[5]) Parodja szablonowej sceny tragicznej.

[6]) Grecy uważali pawia za odmienny typ.

[7]) Jako uciekający przed wierzycielami i sykofantami uważają się raczej za podsądnych. Dalsze słowa Dudka, jak wogóle liczne wzmianki w tekscie, są satyrą na nadmierną ilość heliastów i procesowiczów w Atenach, wskutek czego trudno tam było wytrzymać.

DOBROMYŚL

O tem ani słyszę!
Wszakże już do Skelidy[8]) nienawiścią dyszę...

DUDEK

Mówcież, gdzie chcecie mieszkać, między jakim [ludem?

DOBROMYŚL

Tam, gdzie klątwą-by były i największym trudem
Ranne stuki sąsiada, co woła w te słowa:
„Przyjdź, mój miły, weselna uczta już gotowa!
I maleństwa też zabierz, jeśli już pomyte,
Pójdź na Zeusa, wnet będzie do stołu nakryte,
Bo jeśli mię na dzisiaj twa przyjaźń zawiedzie,
To nie przychodź mi wtedy, kiedy będę w biedzie...“

DUDEK

Zaiste, człeku, ciężkie wymyśliłeś znoje!
A ty?

RADOLUB

Ja także lubię...

DUDEK

Wylicz gusta swoje —

RADOLUB

Żeby ktoś, mając dziecko miluchne, bez skazy,
Rzekł do mnie, jak przyjaciel, ot, pełen urazy:
„A! pięknie, Stilbonidzie[9]), któryś mego syna
Spotkawszy, gdy z kąpieli biegł słodki chłopczyna,
Nie ścisnął, nie pogłaskał, i w domu co duchu
Z chłopcem się nie popieścił... pięknie, stary dru- [hu...“

DUDEK

O lubieżny hultaju! jakież brednie plecie! —
Lecz taki gród szczęśliwy, sądzę, że zdybiecie
Hen, nad morzem Czerwonem...

DOBROMYŚL

Co? co? — O, nic z tego!
Żadnego morza, ani miasta nadmorskiego,
Gdzie człek, nim oczy przetrze, spocząwszy kru- [szynkę,
Zaraz z drabem łakomym zoczy — Salaminkę![10])
Nie, ziemne miasto poradź, greckie, co się zowie.

DUDEK

Czemuż nie zamieszkacie w elejskim Trędowie?

DOBROMYŚL

Na bogów! instynktownie drżę przed takim losem:
Nie cierpię trądu, wraz z trędawym Melantiosem.

DUDEK

Są jeszcze opuntyjskie siedziby w Lokrydzie,
Grody rojne, gościnne!

DOBROMYŚL

Nie, nie! to nie idzie —
Opuntjosem ja nie chcę być za góry złota!

[8]) Syn Skeliosa, nazywał się Aristokrates. Dobromyśl, bojąc się posądzenia, że sprzyja arystokratom i arystokratycznej Sparcie, oburza się na sam dźwięk tego imienia.

[9]) Właściwe nazwisko Radoluba.

[10]) Statek rządowy, ściągający z wysp podatki i opłaty do związkowej, względnie państwowej kasy.

Lecz mówże, jaka tutaj wśród ptastwa ochota?
Wszak świetnie znasz ich życie!

DUDEK

Nie najgorsze w świecie,
Jeno trzosa z pieniądzmi tu nie przydybiecie!

DOBROMYŚL

Toż o trzosów ściąganiu także nic nie wiecie?...

DUDEK

Jemy sezam, co bielą napełnia ogrody,
Wonny mak, macierzankę i mirtu jagody —

DOBROMYŚL

Jak widzę, ptaki wiodą zgoła rajskie życie!

RADOLUB

(który stał dotąd pochłonięty myślami i obserwacją)

Do kata! posłuchajcie, dziwy usłyszycie!
Wielkie rzeczy ja wieszczę dla ptasiej gromady
I wielką moc, jeżeli posłucha mej rady —

DUDEK

W czemże cię słuchać mamy?

RADOLUB

W czem słuchać? — Wpierw zgoła
Przestać z rozdartym dzióbem latać dookoła —
Jak haniebna to czynność! Ot, nieraz wypadnie,
Taki goniec zabłądzi do nas — ktoś zagadnie:
A cóż-za ptak? — Więc zaraz wrzaśnie Teleas[11]) [srogi:
Tfu! latawiec, lekkoduch, kawał powsinogi,
Co miejsca nie zagrzeje i pracą się brzydzi!

DUDEK

Na Djoniza, prawda! jak słusznie z nas szydzi!
Lecz co począć, co począć?

RADOLUB

Wybudujcie miasto!

DUDEK

Jakież miasto zbuduję z mą bracią pierzastą.

RADOLUB

Jesteś synu zaiste zbyt tępej natury!
Patrz-no na dół —

DUDEK

Toć patrzę.

RADOLUB

A teraz do góry.

DUDEK

Już...

RADOLUB

Teraz dzióbem obróć dokoła —

DUDEK

Mój boże,
Niech zginę, jeśli mi ten obrót co pomoże.

RADOLUB

Cóż tam widzisz?

[11]) Głośny w Atenach weredyk i obmówca.

DUDEK

Co widzę? Ano niebo, chmury —

RADOLUB

Wszak to wszystko, to okręg skrzydlatej rodziny!

DUDEK

Okręg? w jakim znaczeniu?

RADOLUB

W znaczeniu dziedziny,
Którą każdy dziedziczyć i okrążać może,
Dlatego też okręgiem zowie się przestworze —
A gdy je ogrodzicie kamiennym obwodem,
Wtedy okręg możecie śmiało nazwać grodem
I, jak marną szarańczą, władać ludzkim rodem,
Zaś bogów to już możem wygłodzić bezpieczno...

DUDEK

Jakto?

RADOLUB

Wszakże nad ziemią masz przeźrocz po-
[wietrzną,
Więc jak my, gdy delficką zwiedzamy Wyrocznię,
Do Beotów o przejście pukamy niezwłocznie:
Tak, gdy bogom ze ziemi wionie smakowita
Woń ofiar, jeśli bogi nie złożą wam myta,
Wy również nie puścicie z udźców słodkiej woni.
Przez gród, co wrogą twierdzą błękity przesłoni!

DUDEK

Fiu! fiu! fiu! Na Zeusa, aż mi w uszach dzwoni!
Na tę ziemię, na sidła, na chmury, na siecie,
Wspanialszego pomysłu niemasz w całym świecie,
Jakże chętnie ja z tobą zbuduję gród taki,
Jeśli plan twój pochwalą zgodnie inne ptaki.

RADOLUB

Któż im myśl mą wyłoży?

DUDEK

Ty własnemi słowy.
Dzikusów, nie znających dźwięków greckiej mowy,
Poduczyłem już nieźle, żyjąc z nimi dłużej.

RADOLUB

W jaki sposób ich tutaj zwołasz?

DUDEK

Trud nie duży —
Oto pędzę natychmiast do leśnej gęstwiny
Zbudzić mego słowika[12]); z pomocą ptaszyny
Hukniem na nich po borze: niech nasze wołanie
Zagra echem, wnet tutaj cały orszak stanie.

RADOLUB

O, najzacniejszy z ptaków, więc nie stój kochanie,
Błagam cię najusilniej — w boru ciemne mrocznie,
Skacz co żywo słowika zbudzić mi niezwłocznie!

DUDEK

(znika w lesie wołając)

O siostrzyco moja, o wstańże już, wstań,
Czas hymnem przeświętym rozpłakać się
[w dal,
Który z boskiej piersi zawodzisz wśród łkań,
Gdy za dzieckiem naszem pochwyci cię żal!—
W świętym dreszczu tęsknicy i słodkich skarg
Z twych płowych warg
Niech przeczyste pienia poprzez ciemny bór
Popłyną echem aż do Zeusa nieb,
A gdy złotowłosy usłyszy je Feb,
Twej bolesnej pieśni wnet jęknie on wtór...
I zagra, prowadząc swych bożych chórów tan,
Na formindze cudnej, bolesny wraz dźwięk—
Aż niebiańskich pląsów radosny on wian
W wieczysty, ogromny rozlegnie się jęk. —

(W borze poczynają rozbrzmiewać dźwięki fletu, naśladujące pieśń słowika).

DOBROMYŚL

(napawając się muzyką)

O królu Zeusie, jak ptaszyna cudnie pieje,
Jakby miodem przesłodkim zalał całe knieje!...

RADOLUB

Hej, ty!

DOBROMYŚL

Co?

RADOLUB

Nie umilkniesz?

DOBROMYŚL

Cóż wadzi me słowo?

RADOLUB

Cicho! dudek wnet pocznie zawodzić nanowo!

(Po powtórnych nawoływaniach Dudka zaczynają się schodzić coraz nowe ptaki).

Kraków, 1904.

Przełożył *Józef Jedlicz.*

[12]) Prokne w słowiczej postaci jest w dalszym ciągu żoną Dudka. Co rano w żałosnych pieniach opłakuje swoje zamordowane dziecko.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z literatury przedhistorycznej. Bardzo ciekawa, z wielkim nakładem pracy, studjów, znajomością bibljografji zestawiona książka, wyszła obecnie we Lwowie, p. t. „Repertorjum zabytków przedhistorycznych Galicji wschodniej“ napisał W. Przybysławski, członek komisji archeologicznej i konserwator sekcji przedhistorycznej. Jest to zestawienie miejscowości w szesnastu powiatach Galicji wschodniej, w których dokonano wykopalisk przedhistorycznych wraz z sumarycznym opisem tychże wykopalisk i bibljografją, odnoszącą się do każdego z nich z osobna. W ten sposób zinwentaryzowane zostały przez p. Przybysławskiego wykopaliska w powiatach bohorodczańskim, borszczowskim, buczackim, czortkowskim, horodeńskim, husiatyńskim, kołomyjskim, kossowskim, nadwórniańskim, peczeniżyńskim, podhajeckim, skałackim, śniatyńskim, tłumackim, trembowelskim, i zaleszczyckim. Książka wyszła nakładem lwowskiego grona konserwatorów.

Drukiem „DRUKARNI POWSZECHNEJ“ we Lwowie, ul. Akademicka l. 8.